

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.

1/2 " -- 40 "

1/4 " -- 20 "

1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Pierwszy wyłom.

Najdonioślejszym wypadkiem w polityce wewnętrznej polskiej, w okresie ubiegłego lipca, było niewątpliwie uchwalenie przez Sejm ustaw językowych, zapewniających pewne, chociaż niezmiernie ograniczone prawa językom białoruskiemu, litewskiemu i ukraińskiemu w szkołach, urzędach i samorządach na terytorjum Gaiicji Wschodniej oraz t. zw. Ziemi Wschodnich.

Nagły ten, a niespodziewany „przyływ tolerancji“, jak trafnie określiło któreś pismo opozycyjne rzeszoną uchwałą sejmową, był wynikiem owych narad ministerjalnych z rzeczoznawcami, o których pisaliśmy w № 10 w artykule p. t. „Paljatywy“. Ze zdumiewającą szybkością opracowano projekt, wniesiono go do Sejmu i przyjęto z jeszcze bardziej zadziwiająca jednomyślnością. Widocznym było, że odegrywały tu rolę inne względy, niż poczucie sprawiedliwości i chęć zaspokojenia potrzeb narodowych ludności niepolskiej. Powodem niebywałej jednomyślności większości polskiej w Sejmie była parlamentarna kombinacja, zresztą nieudana: Stanisław Grabski — Stanisław Thugutt, wskutek czego endecja głosowała za projektem, nie bacząc na niezadowolenie swych szowinistycznych zwolenników z „Kresów“, Wyzwolenie zaś również go popierało wbrew wyraźnym dyrektywom swych wileńskich członków. W rezultacie uchwalona ustawa nikogo nie zadowoliła. Dla nacjonalistów naszych jest ona zbyt liberalną i stanowi niebezpieczny precedens na przyszłość, w szeregach radykałów polskich wywołała rozdwojenie a nawet spowodowała secesję z Wyzwolenia kilku posłów, reprezentujących ludność białoruską, wreszcie ze strony bezpośrednio zainteresowanej t. j. mniejszości narodowych, które miała zjednać i ugłaskać, wywołała jednogłośnie ostry protest, który się ujawnił

podczas głosowania w Sejmie w formie hałaśliwej demonstracji i opuszczenia sali obrad przez wszystkich posłów nie polskich, nie wyłączając nawet ugodowych „chliborobów“ ukraińskich z ks. Ilkowem na czele.

Nieprzejednane stanowisko mniejszości narodowych wywołało w opinii polskiej pewną konsternację. Zdaje się, że dotąd nie zostało ono należycie zrozumiane i jest tłumaczone jaknajopaczniej. Z pozoru istotnie może się wydawać dziwnym, że ci, którym się nadaje pewne ulgi i prawa, odrzucają je z pogardą i nie chcą za nimi głosować. Tymczasem niema w tem nic dziwnego, gdy się zważy, że uchwalone ustawy językowe obliczone są jedynie na efekt zewnętrzny, w zastosowaniu zaś praktycznym są prawie niewykonalne i zawierają mnóstwo drobnostkowych zastrzeżeń i formalności, które odbierają wszelką wartość realną przyznanym koncesjom.

Gruntowną a bezstronną krytykę ustaw językowych znajdujemy w uchwale zarządu powiatowego „Wyzwolenia“ w Wilnie z d. 6 lipca, która stwierdza:

„że ustawa „o języku urzędowania państwowych i samorządowych władz administracyjnych“ dając prawo petentom zarówno narodowości ukraińskiej, jak i białoruskiej składania podań i ustnych oświadczeń w macierzystym języku na terenach zamieszkałych przez te narodowości w większości (art. 2) — prawo otrzymania odpowiedzi w języku macierzystym na te podania przyznaje tylko Ukraińcom we Wschodniej Małopolsce (art. 3) odmawiając tego prawa Białorusinom na terenach białoruskich; że tak samo ustawa „o języku urzędowania w Sądach“... nadając prawo przemawiania przed sądami orzekającymi w języku macierzystym (art. 4) i otrzymywania na żądanie wyroków i orzeczeń sądu najwyższego w tym że języku jedynie Ukraińcom (art. 5), Białorusinów tego prawa pozbawia również,—

że dając zasadniczo prawo prowadzenia obrad

w języku macierzystym na zebraniach samorządowych uzależnia to prawo w miastach wyodrębnionych od uchwał rad miejskich, a więc od każdorazowej większości, wprowadzając w ten sposób do spraw językowych moment walki,

że dając wogóle rozmaite inne uprawnienia językowe, możliwość korzystania z nich ustawy uzależniają od specjalnych domagań się i zgłaszania żądań zainteresowanych, a w szkolnictwie od zgłaszania i zbierania uciążliwego uwierzytelnionych podpisów,

że ustawa o szkolnictwie ogranicza prawa na szkołę w macierzystym języku, o ile w gminie ludność białoruska lub ruska dochodzi do 25 proc., chociażby znajdowała się tam ustawowo przepisana ilość 40 dzieci, chcących pobierać naukę w ojczystym języku,

że tam gdzie ta ludność inoplemienna przekracza 25 proc. — nie może jednak otrzymać nauki w macierzystym języku nawet w dwujęzycznej szkole, o ile liczba dzieci, rodzice których chcieli uczyć je w macierzystym języku nie dochodzi do 40, jakkolwiek znacznie przewyższa ilość uczących się w danym rejonie dzieci polskich,—

że ustawa pozbawia prawa ludność inoplemienną na własną państwową szkołę średnią i własne państwowe seminarjum nauczycielskie“ i t. p.

Pozatem ustawa ogranicza prawa ludności białoruskiej i litewskiej pod względem terytorjalnym, przeciwko czemu między innymi ogłosił protest T. Komitet Litewski w Wilnie.

Co nagle, to po djable—mówi polskie przysłowie. Wspomniana ustawa potwierdza słusność tego mądrego spostrzeżenia ludowego. Zwolana pośpieszenie, pracująca w tajemnicy, nie utrzymująca żadnego kontaktu ani ze społeczeństwem polskim, ani tembardziej z przedstawicielami strony zainteresowanej, komisja ministerjalna z udziałem czterech „rzeczoznawców“ nie mogła stworzyć niczego lepszego, chociażby z tej prostej racji, że wychodziła z dwóch sprzecznych najzupełniej założeń: poczynienia pewnych ustępstw wymaganiom ludności obcoplemiennej i jednocześnie nie naruszenia zasadniczych podstaw kierunku nacjonalistycznego i unifikacyjnego, panującego dotąd wszechwładnie w polityce wskrzeszonego państwa polskiego.

To też, jako dzieło kompromisu posiada uchwalona przez Sejm ustawa wszystkie cechy tych poczyniń, które mają na celu „nabycie kapitału z zachowaniem niewinności“.

Niestety autorów spotkał gorzki zawód. Kapitału nie zdobyto, bo główny cel: oddziaływanie na opinię zagraniczną — skutek jednomyślnej postawy opozycyjnej mniejszości narodowych został chybiony, cel drugorzędny: zjednanie sobie pewnych przynajmniej odłamów wśród ludności obcoplemiennej również nie został osiągnięty, natomiast na nieposzlakowaną dotąd czystość nacjonalistyczną polityki polskiej, padła drobna wprawdzie, ale wyraźna plamka,

która się już nie da zatrzeć. Sam fakt stwierdzenia przez czynniki urzędowe i miarodajną opinię polską, że na wschód od linii Curzona język polski nie jest dla większości ludności dostatecznie zrozumiały i że języki białoruski, litewski i ukraiński mają tam prawo obywatelstwa, posiada ogromną doniosłość polityczną, której zdaje się nie doceniają w Warszawie, ale którą instyktownie odczuwają nasi miejscowi endecy, słusznie rozumując, że po pierwszym nieznanym wyłomie w dotychczasowym systemie bezwzględnie unifikacyjnym nastąpić muszą z biegiem czasu dalsze i głębsze, które w końcu doprowadzą do przekształcenia ustroju Rzeczypospolitej Polskiej w duchu zupełnej jej decentralizacji i usamodzielnienia składowych jej części o odrębnym charakterze etnicznym i historycznym.

Z powodu odczytu pośła Jana Zamorskiego.

Wskutek odmowy umieszczenia niniejszego artykułu przez „Kurjer Warszawski“, upraszam o udzielenie mu miejsca w „Przeglądzie Wileńskim“.
K. S.

Posel Jan Zamorski miał w lutym r. b. w Warszawie odczyt o kulturze łacińskiej (i bizantyzmie) w Polsce.

Pan Jan Zamorski oskarżył kraje i ludy litewsko-rusińskie o zarażenie Polski bizantyzmem, jedną z głównych przyczyn poniżenia, a następnie upadku Rzeczypospolitej, w 18 wieku. (Patrz streszczenie odczytu w „Gazecie Porannej“ № 57 z 27-go lutego).

Jakim sposobem człowiek takich zdolności, rozumny krytyk i sędzia w kwestjach społecznych, szczerzy i gorliwy patriota,*) mógł dojść do tak fałszywych tez historycznych — jest to tajemnicą tej partyjności, która dziś wszystko w Polsce przejmując, zabarwia najsprzeczniej przeszłość, obecność i przyszłość — co czyni każda partja po swojemu — i prowadzi bierny ogół każda na swoje bezdroże.

Więc *nie* brak podstawowych praw politycznych w ustroju państwowym Polski, *nie* szalone „liberum veto“, *nie* rokosz i anarchja państwowa, strzeżona pilnie, jako „żrenica wolności“ przez takie zachodnio-polskie typy, jak Zebrzydowskich, Radziejowskich, Zborowskich — nawet Lubomirskich, były główną wewnętrzną przyczyną upadku Polski, ale te ludy, które położyły fundament mocarstwowości Polski, przejęły się z zapalem kulturą zachodnią, same wytworzyły unję religijną z Rzymem, dały Polsce szereg znakomych ludzi — Litwa i Ruś. Jest to pogląd dziś modny, opłakany w skutkach, pełen złego ziarna na przyszłość.

Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy na to, jakiego podłoża potrzebował i potrzebuje bizantyzm, czyli kultura wschodnia, zbudowana na niewolnictwie ducha, na upodleniu i zaniku indywidualności, na tyranji

*) Charakterystykę pośła Zamorskiego pozostawiamy całkowicie na odpowiedzialność Sz. autorki. W naszym przekonaniu p. Zamorski należy do najbardziej ujemnych typów w szeregach endecji. (Przyp. Red.).

materjalnej przemocy, na symonji i wszelkiej niemoralności. Potrzebował i potrzebuje wielkiego rozkładu wszystkiego, co szlachetne w duszy ludzkiej, upadku obyczajów i zasad, zerwania z odrodzieńczym kościołem katolickim, schyzmy i ogólnego zepsucia.

Tak było właśnie w Carogrodzie. Albo potrzebuje niewolniczej i biernej, a okrutnej natury *azjatycko-mongolskiej*, jak było i jest w Rosji.

Litwa i Ruś słowiańska (przedewszystkiem czy sta duchowo, bo nigdy nie powstająca przeciw wspólnie zbudowanemu państwu Białoruś) czem są w swym składzie etnicznym? Są ostatniemi odroślami *aryjskimi* na wschodzie Europy, odroślami bogatemi z natury rasowej w cechy zachodnio-europejskie, które szeregiem czynów i faktów odbijają się w ich dziejach.

W każdej historii można znaleźć szczegóły, które uogólnione, wyolbrzymione, zakryją realny stan rzeczy. — Historyk poważny nigdy takich rysów przygodnych za cechy stałe nie bierze, więc że tu i ówdzie na skraju naszego wschodu, wicher dziejowy rzucił piasek moskiewski i jego trucizny na urodzajne gleby narodowe — to tak samo nie upoważnia do sądenia ich przeszłości według tych ubocznych szczegółów — choćby historycznych, jak niewolno po Dąbalu i jemu podobnych twierdzić o zaniku cnoty w chłopie polskim, a po Dzierżyńskim i Marchlewskim o zaniku rozumu w postępowej inteligencji polskiej.

Mniemanemu bizantyzmowi Litwy i Rusi historia rzeczywista przeczy wielkim głosem! Sto pięćdziesięcioletnie zmaganie się Litwy z germanizmem, świadczy o niesłychanym w niej zamiłowaniu wolności narodowej. Wypędzenie Tatarów z Dniepru i Dźwinę z całym ich upadającym mongolskim panowaniem, *wypędzenie, dokonane przez Litwę i Ruś same* — wykazuje dzielność tych ludów, antypatję ich do biczów Bożych, spadających tylko na plecy tych narodów, które się „złemu nie sprzeciwiają“. Tak było w ich rodzimej głębokiej przeszłości.

A później? Prawa ich kodeksowe, aczkolwiek pierwotniejsze, surowsze od polskich i prawa zwyczajowe, doskonalily się wciąż — (coraz poprawniejszy Statut Litewski) — pod wpływem katolicyzmu i kultury, nie mając nawet od początku — dla łagodności narodowej, ostrych cech praw i obyczajów feudalnego rycerstwa zachodnio-europejskiego.

Dalej, jak pogodzić ów rzekomy bizantyzm Litwy i Rusi z faktem, gwałtownego prawie, przejmowania się Litwinów ideami i „nowościami“ nawet, z Zachodu, z Polski, w 16 i 17 wieku, z owem samorzutnem zwróceniem się Rusi do Rzymu po wiarę katolicką? Jaką obelgą staje się mniemany „bizantyzm“ Litwy i Rusi w 18 wieku, dla cieniów Czartoryskich, Chreptowiczów, Reytanów, którzy wszelkimi siłami ratowali honor i kulturę upadającej Rzeczypospolitej i nie położyli Pogoni litewskiej na paktach Targowicy!

A cóż rzec nareszcie o tem tak lekkomyślnem twierdzeniu wobec późniejszych niezliczonych ofiar i pracowników, rodem i pochodzeniem ze wschodnich krajów dawnej Rzeczypospolitej, a szczególnie wobec tego cudownego splotu trzech pierwiastków etnicznych: litewskiego, polskiego i rusińskiego w nieśmiertelnych postaciach Kościuszki, Mickiewicza, którzy wyrosli z tego gruntu litewsko-rusińskiego jak cedry Libanu i bratają się w podniebnych sferach z takimi samemi szczytami wyrosłemi nad Wisłą — Krasieńskich i Kochanowskich? Zaprawdę, trzeba rzec wszystkim czcicielom programu partji — ponad program narodu,

polityki chwili — nad tradycją dziejów: Wara! od naszych trójnarodowych świętości! od ostatecznego burzenia przybytku Zgody, wzniesionego przez nie między nami! Burzą go dziś bez pamięci wszyscy nasi trójnarodowi szwiniści. Kto najstarszy kulturą, a wyższy stanowiskiem, pierwszy nadużył silniejszego ramienia w tym poniżającym sporze („skandalu Europy“) *), ten wziął na siebie największą odpowiedzialność.

Żal przejmuję, widząc szczerego patriotę polskiego, obdarzonego działacza, maczającego pióro w nienawiści i uprzedzeniu do bratnich ludów na wspólnej ziemi.

Żal i oburzenie — wobec panującego stronnictwa Związku Lud. Narod. (Narodowej Demokracji), które na odwiecznej ziemi litewskiej i rusińskiej (Wileńszczyzna, Grodzieńszczyzna), zamyka wśród wszystkich wojennych przewrotów funkcjonujące szkoły litewskie, miast wytworzyć możebne kulturalne po rozumienie, kasuje białoruskie, zamiast je przekształcić na typ zachodni, dziatwę biedną tych narodowości trzymając pod nieustanną groźbą pozbawienia ich własnych ochron, dachu, chleba i opieki, obywatelom śmiało i spokojnie przyznającym się do narodowości swojej, odmawia pasportów, posad, obywatelstwa polskiego, słabszych więzi i deportuje z kraju, a to wszystko czyniąc, zstępuje na niziny tego trzęsawiska, pełnego błędnych ogników, które zwie się *wynaradawianiem*, podejmuje tam pogardy godne, spruchniałe tradycje germanizatorstwa i rusyfikatorstwa, i co najgorsza — otwiera szlachetne z natury, ale zaślepione dziś szwiniństwem serce polskie, na zarazek prawdziwej bizantyjskiej tyranji, lecący wprost z Moskwy. Taki jest wygląd naszej „Unji“ dzisiaj.

Ślązak oparł się 600-letniemu wynaradawianiu niemieckiemu, Kaszub zachował typ i mowę rodzinną — po stokroć zachował typ swój, mowę, obyczaj, tradycje historyczne prześladowany Litwin i Białorusin na odwiecznej ziemi swych praocjów. Ale spytać trzeba słowami wielkiej królowej: „Któż im łyżę powróci“? Kto zapłaci krzywdy, czynione tym, jednym z najgłębszych uczuć i miłości jaźni człowieczej — poczuciu narodowości i godności człowieka, krzywdy, które niepowstrzymane, jad nienawiści zaszczepia w pokolenia?

Kiedy brat starszy, zasobny w siły, czerpane ze *wspólnego dziedzictwa*, krzywdzi młodszych i słabszych, odmawiając im najcenniejszej puścizny po ojcach, ci ostatni, szukając sposobów obrony, schodzą na manowce, chwytają się też niemoralnych broni, bronią się, jak ptak ścigany „*unguibus et rostro*“, zadają rany, aby nie być zabitymi. (Bez pamiętna na świętość miejsca napaść Litwinów na Polaków w Kościele w Kownie. Odwety polityczne na mniejszości polskiej w Litwie niepodległej). Taki jest obecnie stan spraw narodowościowych na obszarach Rzeczypospolitej. Czy nie czas wołać do tych szczytów naszych, patrzących w niebo: Dajcie nam w serca promienie waszej miłości, bo Braterstwo umiera!

A wróg stoi u wrót.

Mijają prądy, zmieniają się dążenia, cichną walki szalone. Ludzkość zmęczona szuka pokoju, a jeśli wraca do Prawdy nad prawdą — do Ewangelji, pod jej błogosławionym wpływem „wracają do zdrowia na-

*) Tak go nazwał mąż stanu angielski — Lord Cecil.

rody". I wtedy, po wylanych potokach krwi i łez, po tysiącach zmarnowanych jednostek, powraca zgoda, *tworzą się przymierza*, zwracają należności, płacą krzywdy zadawnione.

Kiedyż dla nas ta godzina opamiętania wybije! W okresie chorobnym szowinizmu powszechnego, garączki partji i skamieniałości programów—jednego przynajmniej sanctuarjum strzeżmy: Dziejów naszych. Niech do tej majestatycznej dziedziny, gdzie każdy sąd potomka powinien być oparty na faktach, a wydany pod kątem prawd chrześcijańskich, nie wpada zgiełk walk politycznych, fałszywych hasel, stronnych nawoływań. Szanujmy choć tę dziedzinę, mimo swoich cieniów wspaniałą. Niech nie wdziera się zamęt chwili obecnej w czystą dotąd atmosferę *wspólnej historii naszej*.

Konstancja Skirmuntt.

Z dn. 4-go marca 1924 r.

WOLNA TRYBUNA

Czynniki zachowawcze wśród t. zw. mniejszości narodowych.

Dziś chyba już nikt, nawet z endeków, nie będzie lekcewał zagadnienia mniejszości narodowych w państwie polskim, które rzecz można nabrzmiewa z dniem każdym. Jednocześnie z tem Polacy*) coraz częściej a dobitniej się skarżą na radykalizm, krańcowość, demagogję i t. d. ruchów narodowościowych w granicach państwa. Z polskiego punktu widzenia, nie można odmówić im racji — przedmiotowej. Natomiast podmiotowo winni byłiby być niezadowolonymi przede wszystkim z samych siebie, jako z przyczyny sprawczej. Wzrost radykalizmu i demagogji wśród wszystkich mniejszości w znacznej mierze przypisywać należy, jako skutek przyczynie, temu, że Polacy nie umieli, a nawet nie chcieli, w dobrze zrozumiałym interesie własnym dążyć do zbliżenia się z czynnikami zachowawczymi, których przecieć do niedawna nie brakło w żadnej grupie etnicznej. Rzecz pewna, że tą drogą żadnego ruchu narodowościowego jeszczeby nie powstrzymano, (o czym do dziś dnia nie przestaje słodko marzyć tyłu nacjonalistów polskich), ale niezawodnie do większej roli doszłyby wszędzie wśród mniejszości czynniki zachowawcze. Skorzystałyby z tego jednocześnie i same ruchy odrodzeńcze i idea zgodnego spółzycia.

Po przykłady sięgnijmy w przeszłość niezbyt daleką. Gdy ongiś członek polskiej organizacji rodowej, konserwatysta z tradycji i kultury, Roman hr. Szeptycki zapoczątkował powrót swego rodu do narodowości i obrządku przodków; gdy najwyższa władza kościelna wyniosła go wkrótce na naczelne stanowisko Cerkwi grecko-katolickiej w Galicji i na Bukowinie, a szczerze a nieskończenie ofiarne ukochanie przezeń narodu ukraińskiego, uczyniło go wodzem ideowym i nięjako symbolem Ukrainy Zachodniej, głos dobra narodowego i polskiej racji stanu winny byłoby Polakom jak najbardziej zalecić wykorzystanie takiej raz na stulecie zdarzającej się sposobności, by przez pilne podtrzymywanie z nim stosunków i okazywanie mu wszelkiego poparcia, *eo ipso*

*) Może właściwszym tu był by termin: wszechpolacy lub konserwatyści polscy, zamiast zbyt ogólnikowego określenia: Polacy. (Przyp. Red.).

nie pogłębiać rosnącego przedziału między narodem ukraińskim a polskim. Tymczasem cóż się działo?! Polacy, szkalując z górą ćwierć wieku metropolitę Szeptyckiego, a dziś jeszcze biskupów Kocyłowski (Przemysł) i Bociana (Łuck) oraz brata metropolity protohegumena Studytów o. Klemensa, własnymi rękoma usilnie zabiegali i zabiegają, by tak ważny w narodzie czynnik zachowawczy, jak wyższa hierarchja cerkiewna, pozbawić nazewnątrż tych wpływów wybitnie konstrukcyjnych, jakie ona miećby i wywierać w lepszych warunkach mogła. Ileż to drogocennej energii bezpożytecznie iść musiało na obronę przed tą powodzią oszczerstw, obelg i napaści, zamiast być użytą na bliższe lub dalsze, zależnie zawsze od okoliczności, spółdziałanie?! I po tem wszystkiem Polacy się nie wstydzą biadać nad przewagą wśród Ukraińców czynników radykalnych nad zachowawczymi! Jeśli to nie obluda, to conajmniej... ślepotą.

Ale może tak było tylko w Galicji? Bynajmniej! To samo powtórzyło się i na Litwie, ze zmianami jedynie w drugorzędnych szczegółach. Jeśli ktoś z ziemiaństwa polskiego w Litwie próbował nie na słowach, lecz *czynem* okazać życzliwość dla narodu i ruchu litewskiego, niosąc mu np. daninę swej wiedzy i doświadczenia, zhistryzowana u nas opinja polska zaraz żywcem grzebała smiałków, wylewając nań wprzód całe beczki pomyj. Doświadczyli tego, ze strony zwłaszcza endeków, i Konstancja Skirmuntówna i Alfred hr. Tyszkiewicz i inni. Tak się kończyły próby wszczęcia i umocnienia w ruchu litewskim pierwiastków zachowawczych. Rzecz jasna, że nie robiono absolutnie żadnej różnicy między litewskimi patriotami wśród duchowieństwa, a wszystkich chrzczono jednym mianem *litwománów*, wkładając weń tyle pogardy, na ile dusza polska zdobyć się mogła w swej szlachetnej *splendid isolation* od wszystkich chłopskich ruchów. Skądże mogą tedy bujnie plenić się na niwie litewskiej pierwiastki zachowawcze, kiedy siewców z pola spędzano lub ich posiew wnet deptano?! Dziwne pretensje.

Nierozum polityki polskiej, szukającej tego, czego nie siała, niezwykle dobitnie się okazuje w stosunku Polaków do ruchu białoruskiego. Ileż to dziś czytamy jeremjad z powodu istotnie wciąż do góry idących prądów lewicowych wśród Białorusinów. Według Polaków, winni temu, ci, winni owi. Owszem, winni są. Ależ i Polacy sami są najzupełniej *współwinni*, jako że zawsze ręką swą przykładali i dziś jeszcze przykładają pośrednio do wzrostu radykalizmu, krańcowości i demagogji wśród Białorusinów. Bo i jakże nie miałyby te właściwości wzrastać tu?! Gdy tylko ktoś z Polaków o kulturze i tradycji zachowawczej zbliżał się, chociażby nieśmiało, do ruchu białoruskiego, chcąc być dlań w miarę sił pomocnym, Polacy gotowi byli zawsze widzieć w nim zdrajcę i wylewali nań zapamiętałe swe *odium*. Albo nie tak? Wszak Skirmunt (Roman), Wojniłowicz... w Mińsku, a ś. p. Szafnagiel, Światopolk-Mirski... w Wilnie, wraz z innymi, musieli przebyć istną gehennę szykan i wszelakich upokorzeń, chociaż ci ludzie wcale nie głosili hasel rewolucji społecznej. Dobro narodu polskiego i polska racja stanu winny były, zdaje się, nakazać tym ludziom świadczyć pomoc wszelaką, by ich niezwykle trudne stanowisko w ruchu białoruskim jakoś umocnić, a pracę im ułatwić!

A stosunek społeczeństwa polskiego do kleru białoruskiego?!

O zaniedbanju przez Polaków, w danym wy-

padku przez władze polskie, innych czynników zachowawczych, jak cerkiew prawosławna (*resp.* Rosjanie), mieszczaństwo niemieckie (w kraju naszym nie wynosi ono nawet całego proc.) i Żydzi ortodoksi, pisały *ex professo*, a nieraz z przekonaniem, organy polskich konserwatystów dawnego i nowego autorkomentu.

Uderzając dotychczas w mniejszości narodowe, Polacy nigdy nie zadali sobie fadygi zrobienia najmniejszej bodaj dystynkcji, lecz wszystko i wszystkich w czambuł potępiali. Dlatego dziś Polakom nie przysługuje żadne prawo do wyrzucania mniejszościom nadmiernie wybujałego radykalizmu, krańcowości i demagogii.

Sonderling.

Miesięcznik włoski o literaturze białoruskiej.

Od kilku lat ukazuje się w Rzymie znakomicie redagowana *rivista*, nazywająca się *L' Europa Orientale* od *Istituto per l' Europa Orientale*, którego jest organem niejako urzędowym. Podając oparte na najlepszych źródłach artykuły informacyjne o narodach i państwach Wschodu Europy, walnie się przyczynił i przyczynia ten miesięcznik do dokładnego zaznajomienia ludności półwyspu Apenińskiego z życiem Litwy, Białorusi, Ukrainy, Łotwy, Polski itd. Dlatego Włoch dziś lepiej jest poinformowany o naszym kraju, niż np. Francuz, z natury mniej ciekawy tego, co poza *Ville — Lumiere* i *la douce France* dziać się może i dzieje.

Obóz w trzecim roczniku (1923) *L' Europa Orientale* znajdujemy dość obszerną rozprawę, napisaną dobrym włoskim językiem przez prof. Wsiewołoda Szczebiediewa, Ukraińca, a noszącą tytuł *La letteratura bianco-rutena*. Autor artykułu sumiennie przestudjował całą bodaj spóczesną twórczość białoruską, czego dowodzi bogata bibliografia, podana częścią w odnośnikach, częścią osobno, w końcu rozprawy.

We wstępie zaznajamia on czytelnika włoskiego z *Oriente ex-russo*, którego przecież niemalą częstkę stanowi Białoruś. Rzuciwszy kilka informacji sytuacyjnych, Szczebiediew podkreśla, że swe cechy psychologiczne naród białoruski ujawnił już w sposób całkiem właściwy sobie, oryginalny i wyjątkowo zajmujący. Co do języka białoruskiego, to autor zupełnie słusznie nazywa *herezją filologiczną* twierdzenie, jakoby odrębność jakiejś mowy zasadzała się na jej leksykologii (pochodzeniu słów), a nie na fonetyce i morfologii. *Zresztą polskie pierwiastki leksyczne w języku białoruskim są bardzo nieznaczne*. Spóczesni filolodzy naogół nie dyskutują już dziś o różnicach języka od *dialektu*, bo ta terminologia zależną jest od zmiennych a przypadkowych losów posługującego się jakąś mową narodu. Powołany do stworzenia syntezy z kontemplacji wschodniej a aktywności zachodniej, naród białoruski ma wszelkie dane, by stworzyć piśmiennictwo niepospolicie ciekawe dla psychologa. Szczebiediewa w twórczości literackiej Białorusinów uderzają słodycz, muzykalność i elegijność poezji białoruskiej, niekiedy tem przypominającej mu kreacje *Fra Angelico*. Bezpośrednie omawianie literatury białoruskiej uczony autor rozpoczyna od Kupały, tłumaczo-

nego już na języki niemiecki, czeski, polski, ukraiński i rosyjski. Kupała jest może najintymniejszym pieśniarzem Białorusi, zwanej przezeń *Niobą wszystkich narodów*. Szczebiediew, przytacza, co ciekawsze tłumaczenie niektórych wierszy białoruskich na język Dantego. Tak np. dawny hymn białoruski: *A chto tam idzie?* brzmi po włosku (pierwsza zwrotka): *Chi va là? Chi va là? In quella turba numerosa!.. I Biancoruteni*.

Również w formie wierszowanej przetłumaczone są fragmenty: *Nie biaduj... Kupały — Non angosciarti...*, w którym krytyk dopatruje się wielce typowej dla utworów białoruskich swoistej łagodności.

Po Kupale autor rozprawy przechodzi do Jaskara Biaduli, tłumaczonego też na obce języki, w tej liczbie na niemiecki, litewski, żydowski... Tu Szczebiediew zamieszcza tłumaczenie na włoski wierszyka Biaduli *Białoruski Wajaka*:

Strappa la tua liberta ai denti d' acciaio etc.

Dalej idą uwagi krytyczno-informacyjne o Aleksiu Harunie i znowu włoska próbka tłumaczenia jego kantaty *Pobiednaja, Tuenarono i tamburi*. Wreszcie w znanym wierszu Jakuba Kołasa: *Naszym wroham*, tłumaczenie włoskie wiernie odtwarza główną, jego myśl w słowach:

*Vi chiamiamo davanti al tribunale,
Voi carnefice del popolo nostro...*

Znamienny ten artykuł kończy się reminiscencją historyczną, dotyczącą dawnych stosunków między Białorusią a Włochami, gdzie już w połowie w. XV. Fra Mauro używał terminu *Rossia bianca...* i, co znamienne, obok *Rossia negra, Rossia rossa...*

Wcześniej do Włoch dojść mogła i doszła wiadomość o dalekiej Białorusi i Białorusinach, bo gdy papieżem był Borgia, na wszechnicach Padwy i Wenecji już znaleźć można było scholarów białoruskich, szukających wiedzy u kolebki humanizmu.

Obserwator.

Kalewala w tłumaczeniu litewskim.

Uplywa już dziewięćdziesiąt lat od pierwszego ukazania się w druku epepe fińskiej, która odrazu po ukazaniu się zwróciła na siebie uwagę ówczesnych uczonych i miłośników twórczości ludowej, wywołując nieklamany entuzjazm.

Głównym zbieraczem i wydawcą „Kalewali” był Elias Lönnrot, słusznie nazywany przez rodaków Homerem fińskim, któremu nieodrazu udało się stworzyć epepe fińską w takiej ilości wierszy i formie, jaką widzimy obecnie; pierwsze wydanie obejmowało przeszło 12 tysięcy wierszy, podzielonych na 32 sceny (pieśni); drugie zaś wydanie, z r. 1849, już miało prawie 23 tysiące wierszy i ujęte były, zamiast poprzednich 32, w 50 run. Drugie to wydanie wywołało cały szereg rozpraw uczonych, tacy: jak Jakób Grimm, Leuron Le Duc, F. Müller lub najsumienniejszy M. A. Castren, wszyscy ci, nie wspominam o innych, mniej dziś już znani, stawiali „Kalewałę” obok „Iljady”, a byli tacy, co widzieli w niej więcej bogactwa niż w Homerze, Grimm podziwiał w niej niebywałą prostotę, bogactwo obrazów, wyrażeń i głębokie odczucie natury, jakie daje się tylko spotykać w poezji indyjskiej. Zajęto się nawet wyjaśnieniem

samego słowa „Kalewala“, acz bez skutku. I słowo „Kalewala“ nie jest jeszcze należycie wyjaśnione. Wśród uczonych specjalistów poglądy się krzyżują: jedni są zdania, że jest to imię jakiegoś mitycznego bohatera, drudzy zaś twierdzą, że to kraj Kalewy (Karelija?), są wreszcie i tacy, co Kalewę wywodzą od słowa litewskiego *kalvis*, co miałyby oznaczać kowala. Ale to jest naciąganiem i trąci filologją Akielewicz, tembardziej, że nazwę eposowi nadał sam Lönnrot, a główni bohaterzy noszą imiona: Ilmorina, Lemminkajna i Wajnomojna.

Nic dziwnego, że po takim przyjęciu przez świat naukowy posypały się jak z rogu obfitości tłumaczenia. Na niemiecki przełożył Schiefer, na francuski wspomniany już Le Duc, na rosyjski Gramström (po rosyjsku są dwa tłumaczenia i oba wzorowe, podobno najlepsze), na polski tłumaczyła Seweryna Duchńska, o czym Korbut w swojej literaturze nie wspomina; oczywiście nie z oryginału, lecz z tłumaczenia francuskiego. Tłumaczenie to, właściwie streszczenie, drukowane było w „Bibliotece Warszawskiej“ (1896 r.). Nie obeszło się bez bałamutnych wiadomości i uwag, któremi tłumaczka obficie szastała, ale i taki wysiłek utknął i nie postąpił naprzód.

Wyrażając się stylem brücknerowskim, stało się tak, że, co Polacy od dziesiątków lat zamierzali, Litwini dokonali w krótkim czasie.

Ukazanie się „Kalewali“*, tego kamienia węgielnego kultury fińskiej, w tłumaczeniu litewskim ma znaczenie, powiedziałbym, epokowe, bo piękny epos fiński, napewno niejednego litewskiego zbieracza i komentatora pieśni pobudzi, jak swego czasu Lönnrota, któremu wdzięczny naród postawił piękny pomnik w Helsingforsie do ułożenia eposu litewskiego.

Tłumaczenia „Kalewali“ dokonał znany litewski muzykolog i zbieracz pieśni ks. A. Sabaliauskas (Sobolewski), który mieszkając w Finlandji poznał język fiński. Dodać należy, o czym dowiadujemy się w przedmowie, że wielką pomocą był tłumaczowi prof. dr. Nemi, znany w całej Europie uczony fiński i najlepszy znawca dziś „Kalewali“. Pomoc ta była potrzebna i przydała się, gdyż mnóstwa słów, nawet całych zwrotów, sami Finnowie dobrze nie rozumieją.

We wstępie „Co to jest Kalewala“ — tłumacz daje skąpe, może nieco zaskąpe wiadomości o „Kalewali“, tembardziej znając język fiński, tłumacz miał możliwość skorzystania z bogatej literatury o „Kalewali“. Natomiast we wstępie zupełnie niepotrzebne są zapatrywania tłumacza na epos i Homera, tembardziej takie, które wywołują krytykę. Zamiast tego, tłumacz powinien był wspomnieć cośkolwiek o pięknej i pokrewnej i to bardzo, epopei estońskiej „Kalewipoeg“ (Kalewicz) i o samym Homerze estońskim Fr. Kreuzwaldzie, rówieśniku Lönnrota, (Lönnrot ur. w 1802 r. — um. 1884, Kreuzwald ur. w 1803 — um. 1883. Co za ciekawy zbieg dat?) co dla czytelnika nieznającego literatury fińskiej byłoby z wielką korzyścią. Dobrze, że autor streszczył każdą pieśń, co wspaniale orjentuje czytelnika.

Najciekawsze są i najbardziej zasługują na pochwałę pod względem wydawniczym objaśnienia z ilustracjami oryginalnymi, które wykonane są przez Finnów, bo wzięte z książki prof. Nemiego „Kalevalan selityksia“. Ilustracje te niezmiernie były po-

trzebne, bo Finnowie posiadają sporo przedmiotów codziennego użytku, których inne narody nie znają, albo mają one wygląd zgoła inny. Poza tem całość zamykają objaśnienia imion własnych.

Co zaś tyczy się samego tłumaczenia—to choć ks. Sabaliauskas jest mniemania o sobie skromnego—to jednak wypadło ono bez zarzutu, przynajmniej pod względem zasadniczym, bo treści.

„Kalewałę“ wydało pod każdym względem wzorowo Litewskie Ministerjum Oświaty, co świadczy niewątpliwie, że wśród pracowników tegoż ministerjum znajdują się ludzie, którym kultura narodowa leży na sercu.

Wł. Sak.

Z mego notatnika.

Kulturregerzy.

Zaalarmowany notatkami niedzielnych dzienników wileńskich, że tną las w Zakrecie, pobiegłem niezwłocznie, mimo niepogody, na miejsce i oto co ujrzałem: na przestrzeni kilkuset metrów w samym środku Zakretu leżą ścięte lub wykarczowane stuletnie sosny, pokopane są głębokie doły, piętrzą się stopy kamieni, słowem niszczycielska robota w całej pełni. Podobno wycięciu ma uleść znacznie większa przestrzeń lasu, a na ogołoconym terenie mają być ulokowane magazyny amunicyjne.

Oczywiście w ten sposób spora, może większa część Zakretu stanie się niedostępną dla publiczności, a sam Zakret straci, dzięki poczynionym spuszczeniom, cały swój urok i powab.

Przepyszna ozdoba Wilna, która ocalała i pozostała nienaruszoną podczas zamieszek wojennych, pada obecnie ofiarą nie liczącego się z niczem „pokojowego“ militarysty. Nawet „Dziennik Wileński“ nie posiada się z oburzenia na wojskowość i mianem wandalów piętnuje autorów i wykonawców tego niesłychanego zamachu na piękno naszego miasta.

Zdaje się jednak, że nie pomogą już żadne złorzeczenia, kłatwy ani protesty. Roboty posunęły się zbyt daleko. Rzecz wprost niepojęta: przecież to, co zostało już dokonane, nie mogło się stać w ciągu jednej doby, musiało trwać dłuższy przeciąg czasu. I nikt dotąd nie zwrócił uwagi na dokonywane się dzieło zniszczenia: ani magistrat, ani prasa, ani T-wo Miłośników Wilna, ani w pierwszym rządzie władze uniwersyteckie, obowiążane do czuwania nad całością przekazanego wszechnicy majątku! Nasuwa się pytanie, co uczynił Uniwersytet, by zapobiedz temu wandalizmowi, czemu nie poinformował wcześniej społeczeństwa o zamierzonym projekcie wojskowości?

Powtórzyła się historia z wyciętym ogrodem Botanicznym; gdy już plac oczyszczono, rozległy się w prasie głosy oburzenia i protestów. A starych drzew spóźnione protesty do życia nie przywrócą. I stuletnich sosen w Zakrecie żadna siła już z powrotem nie zasadzi.

Drogo zaczyna kosztować Wilno wyznaczona jej taskawie rola obronnej placówki kresowej!

Bandytyzm dziennikarski.

„Słowo“ wileńskie szczydzi się tem, że w swych metodach publicystycznych, w odróżnieniu od „Dziennika Wileńskiego“, nie posługuje się fałszem, insynuacjami i grubiańskimi przezwiskami, że nawet

* Kalevala suoninē tautos epos. Lietuviu kalbon verte Kun. A. Sabaliauskas. Kaunas 1922. Szvietimo Ministerijos Leidinys.

w zapale polemicznym nie przekracza granic przyzwoitości, zachowując pewien umiar i oględność.

Istotnie, nie można odmówić redakcji „Słowa” znacznej powściągliwości w sądach o niektórych swych przeciwnikach politycznych, jeżeli ci należą do obozu endecji, do którego udziałowcy „Słowa”, mimo nieco odmiennych przekonań, mają wyraźną słabość.

Natomiast o ile chodzi o działaczy, źle widzianych przez akcjonariuszy „Słowa”, szczególnie narodowości nie polskiej, przedewszystkiem zaś względem Litwinów, to organ naszych obszarników nie uważa za potrzebne krępować się jakkolwiek etyką. W stosunku do tej kategorii przeciwników dostojny ton i wytworna ogląda ustępują miejsca chamskim wymysłom i najpotworniejszym oszczerstwom, tem bezwzględniejszym, im bardziej jest zapewniona bezkarność.

Jaskrawą próbką tej *moral insanity* jest ustęp z artykułu *Cata* p. t. „Stołpce” w № 176 „Słowa” z d 5 sierpnia b. r. Oto co uważał za możliwe napisać pozyskany przez utytułowanych i ugalonowanych obszarników dla reklamowania ich wątpliwych zasług społecznych dziennikarz polski o litewskich i białoruskich ideowcach, odstawionych brutalnie swego czasu z Wilna na linję graniczną:

„W czasie gdy władzę nad Litwą Środkową piastował p. Aleksander Meysztowicz, aresztowano w Wilnie szereg ludzi podejrzanych o popieranie, współdziałanie, organizowanie *bandytyzmu politycznego*...”

P. Cat doskonale wie, że ani Birżyszka ani ks. prałat Kuchta ani Harecki ani nikt inny z pośród 33-ch wysłanych zagranicę działaczy litewskich i białoruskich nie był nigdy oskarżony o organizowanie *bandytyzmu politycznego*, o którym wogóle nie słycać było w r. 1920—21, gdyż jest to zjawisko społeczne ostatnich czasów. Mimo to p. Cat nie waha się dla przypodobania się p. Meysztowiczowi, pragnąc rehabilitować skompromitowane jego zdolności administratorskie, rzucić oskarżenia na tej miary człowieka, co Michał Birżyszka, że był organizatorem *bandytyzmu*. Do p. Birżyszki ani do żadnego z jego współtowarzyszy z wygnania potwarz ta wprawdzie nie przylgnie, natomiast p. Cata oskarżyć można z całą słusnością o uprawianie *bandytyzmu* dziennikarskiego.

Licz.

Teatr polski w Wilnie

(1923—24).

Są objawy społeczne tak dawne, ustalone przez wieki przyzwyczajęń ludzkich, że stwierdzić należy albo ich użyteczność, albo nieodzowną potrzebę ich istnienia, wyływającą z właściwości natury ludzkiej. Jednym z takich objawów, przyzwyczajęń i potrzeb, jest teatr. Wystawianie zdarzeń prawdziwych czy fantastycznych, ku ucieście publiczności, sięga pradawnych czasów, jest właściwością plemion stojących na najniższym nawet szczeblu cywilizacji i nieprzerwanie rozwijając się w ciągu wieków, doszło do wysokiego poziomu artystycznej techniki.

Rola teatru, po za uciechą dla oczu i uszu, jest wysoce odpowiedzialną. Scena jest bowiem jednym z najjaskrawszych propagatorów wszelkich idei i naj-

łatwiejszą metodą popularyzowania wszelkich haseł. Biorąc znaczenie teatru w najłatwiejszym ujęciu, ma on za zadanie uczyć i bawić, pogłębiając swe znaczenie, powinien wzruszać i otwierać oczy na nowe horyzonty sztuki czy idei.

Wielkie stolice świata posiadają liczne sceny, odpowiadające wszelkim warstwom społecznym i najróżniejszym ich wymaganiom. Trudno żądać od biednego wileńskiego teatru, kulejącego stale od sztuki do sztuki, by stawiał sobie jakieś programy artystyczne, lub rozwiązywał problemy literackie. Robi co może... a raczej co mu da możliwość robić publiczność. Niech chodzi jak najliczniej, a będzie miała co raz lepszą wystawę. Daleko jednak do tego. Wileńskie uważają dotąd teatr za rozrywkę ekstra, do której się trzeba przygotować i nad nią naradzić. Nie ma też wśród całych grup ludności żadnego zainteresowania dziełami sztuki lub znanymi artystami; zamożne „tutejsze” sfery mało uczęszczają do Lutni, zajęte karnawalem, fire o'clockami, plotkami i interesami. Widownia zapełnia się średnim stanem, młodzieżą, kupiectwem, przybyszami ze sfer urzędniczych i finansowych i publicznością żydowską, która skwapliwie zapoznaje się z niedostępną dawniej literaturą polską i stanowi element nader pożądaną, dzięki swej impulsywności i gorącemu reagowaniu na zalety gry.

Ubiegły sezon odznaczał się, dzięki może powyżej wymienionym okolicznościom, zupełnym brakiem programu; bowiem dla przyciągnięcia i coraz nowego zainteresowania widzów, Dyrekcja wynalazła sposób mający tyleż dobrych co złych stron. Mianowicie nieustannie sprowadzała na gościnne występy artystów z Warszawy.

Miało to ten skutek, że zblazowana publiczność szła do teatru tylko wtedy, gdy ją wabiły z afisza jakieś nowe nazwiska, a miejscowy zespół, zmuszony ciągle się stosować do stylu i repertuaru przyjeżdżających, nie wyrobił w sobie harmonji i zgrania się, mogącego jedynie nadać wartość całości. Bowiem żadnych wybitnych talentów sezon ubiegły nie wykazał: odznaczyła się z kobiet jedynie Frenklówna, inteligentna artystka dramatyczna, której nieliczne role, jako to Judyty w Księdzu Marku, i matki w Ziemi nieludzkiej oraz Chimeny w Cydzie, świadczyły o nieprzeciętnym talencie. Z młodszej generacji pp. Wyrwicz, Kurnakowicz, Vorbrodź wykazali, zwłaszcza dwaj ostatni, wiele pomysłowości i zdolności do rodzajowych i komicznych ról. Obok nich p. Wołłejko i p. Jasińska zwracali uwagę również trafnym oddaniem grywanych postaci.

Gościnne występy dały nam z Adwentowiczem repertuar skandynawski i szekspirowski, z Solską szereg sztuk z jej osobistego repertuaru, z Osterwą role stworzone dla niepospolitego artysty jakim jest twórca Reduty, (Ptak Szaniawskiego, Sułkowski Żeromskiego, Firycy Zabłockiego). Występy Junoszy-Stępskiego przyniosły repertuar mieszany, zastosowany do znanego amanta scen warszawskich, zaś letni sezon przyniósł z Lenczewskim i Bożewską lekkie farsy i krotoczwile francuskie.

Przeglądając tytuły 47 granych w sezonie 1923-24 utworów, ze zdziwieniem stwierdzamy ogromną przewagę rzeczy obcych, bowiem polskich sztuk widzieliśmy zaledwie 13. Mianowicie Irydiona, starannie opracowanego na otwarcie sezonu z p. Tarkiewiczem w roli Heljogabala, Dziady, które osiągnęły maksymalną ilość przedstawień, bo aż... 13-ciel (operetki miały do 2), Księdza Marka (6 przedst.), Złote więzy (11 przedst.) zaś z repertuaru współcze-

snego: „Podatek majątkowy” Siedleckiego i „Żywy Budda” Ossendowskiego (po 8 razy).

Reszta sztuk przypada poważnie na lekkie komedijki i farsy francuskie; z nowości grano też Zadrość Arcybaszewa i Wierę Mircową, Świt, dzień i noc oraz Nauczycielkę Nicodemiego i Sześć postaci Pirandello (3 razy)!

O twórczości miejscowej niema w Wilnie absolutnie mowy. Kilka lat sceny polskiej u nas, nie dały absolutnie żadnego utworu o charakterze miejscowym, lub przez tutejsze siły literackie opracowanego. Jedynymi słabymi objawami twórczości, były kilka jednoaktówek aktualnych na cel dobroczynny, przez p. Stanisławską, coroczna Szopka akademicka i wznowiony zeszłej zimy dawny „Ach”, pod tytułem „To i owo”, owoc zbiorowego dowcipu inteligencji wileńskiej.

Wilno nie kształci też sił dramatycznych, mamy aż dwie, wcale dobre szkoły tańca (p. Łaskiewiczowej i Luzińskiej) i szkołę gry filmowej, ale próba kursów deklamacji scenicznej p. Dubowikówny dała oplakane rezultaty.

Teatr pozostaje więc imprezą rozrywkową, bez żadnej linii przewodniej, o przewadze repertuaru farsowego, a jeśli dodamy doń cieszące się wielkiem powodzeniem „nagie” operetki, to stwierdzić trzeba, że daleko mu do świątyni prawdziwej sztuki i roli pedagogiczno-społeczno-politycznej, jaką miał odegrwać.

Bywalec.

Bibliografia.

Muzeum w Grodnie. Sprawozdanie z czynności za rok 1923. Grodno MCMXXIV str. 59 z ilustr.

Muzeum w Grodnie odznacza się rzadką ruchliwością: jedna jego publikacja goni za drugą... Pod niewiele mówiącym tytułem sprawozdania, placówka archeologiczna w Grodnie daje tu coś w rodzaju rocznika, gdzie obok kroniki jej istnienia, jest też kilka niewielkich przyczynków, poświęconych pamiętkom grodzieńskim. Niełatwy oczywiście jest byt instytucji kulturalnej w dobie redukcji i stabilizacji waluty i tylko kosztem nadzwyczajnych wysiłków dała się ona utrzymać. Wiążąc acz z trudem końce z końcami, Muzeum w Grodnie potrafiło jednak w roku ubiegłym pomnożyć swe zbiory i depozyty o wcale pokaźną ilość wartościowych rzeczy. To wszystko znajdujemy skrętnie podane w wydawnictwie omawianem.

Ciekawszą jeszcze jest druga część publikacji, gdzie zamieszczone są trzy artykuły kustosza Muzeum w Grodnie Józefa Jodkowskiego. Najważniejszy z nich: *Pieczenie miejskie grodzieńskie z XVI wieku* jest między innymi odpowiedzią autora *Grodna*, na postawiony mu przez L. Szczukę zarzut, że gród nadnie-

meński nigdy nie używał jako herbu *Jelenia*, a podobizna ta jest fantazyjną... (*Ateneum Wileńskie* № 3—4. Wilno 1923 pp. 678-579). Jakkolwiek nie mamy zgoła pretensji uchodzić za specjalistów heraldyków, uważamy że Jodkowski broni tu swego stanowiska rzeczowo i — zwycięsko.

Drugi z kolei artykuł, zatytułowany *Taniec śmierci*, zawiera opis alegorycznego tej treści obrazu ze zbiorów Muzeum w Grodnie. Jodkowski obszernie omawia ten obraz, jak i poszczególne zeń sceny. Myli się tylko upatrując rodowód takich obrazów w misterjach lub dialogach klasztornych. *Totentänze* powstały na Zachodzie w początkach XV wieku i nie da się udowodnić, że źródła powstania ich trzeba szukać koniecznie w przedstawieniach kościelnych. Zagranicą ma tyle takich obrazów w doskonałym oryginale, że niesłusznie Jodkowski przypisuje pewnemu kapucynowi z Holandji, zbierającemu u nas pamiątki po Brygidkach, jakiś specjalny zamiar do wywiezienia z Grodna *Tańca śmierci* do ojczyzny wielkich malarzy. Ostatnią rozprawkę Jodkowski poświęcił świeżo nabytemu do Muzeum w Grodnie obrazowi N. M. P. na płycie rytowniczej (z połowy XVII w.), ciekawemu dla swej oryginalnej kompozycji. Przypisanie tego obrazu *A. I. Ejsymontowi, nieznanemu dotychczas malarzowi polskiemu* nie ma żadnych podstaw.

Omówione tu wydawnictwo, acz terminowem przecież nie było, nosi na sobie ślady zbyt wielkiego pośpiechu. Korekta fatalna. Zato dobrze i starannie są wykonane ilustracje, mogące zawstydić prof. Kłosa, wypuszczającego w świat takie publikacje, jak przewodnik po Wilnie ze skandalicznymi rycinami.

Jadźwing.

Od Administracji.

Przypominamy Sz. Prenumeratorom, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci i drugie półrocze b r.

Wskutek nagłego wyjazdu naszego inkasenta i dłuższej nieobecności wydawcy, nie mieliśmy możliwości odebrania z poczty nadesłanych w ciągu lipca przekazów pieniężnych, które zostały dzięki temu zwrócone przez pocztę nadawcom. Przepraszamy najmocniej Sz. Prenumeratorów za nieprzewidziane komplikacje i prosimy uprzejmie o powtórne wysłanie pieniędzy.

Treść numeru: Pierwszy wyłom. — K. Skirmuntt. Z powodu odczytu pośła Zamorskiego — *Obserwator*. Miesięcznik włoski o literaturze białoruskiej. — W. Sak. Kalewala w tłumaczeniu litewskim. — Licz. Z mego notatnika. — *Bywalec*. Teatr polski w Wilnie. — Bibliografia.